

Stypendysta ministra

Z systemów komputerowych do dziennikarstwa

Rozmowa z Jarosławem Nieradką,
studentem V roku kierunku *filologia polska ze specjalnością dziennikarstwo*

Jeszcze chwila, a stanie Pan na progu kariery zawodowej. Czy już wiadomo w jakim pójdzie kierunku? Czy wybór kierunku studiów (tutaj zawsze określony dziennikarską specjalnością) był aktem świadomym?

- Cały czas waham się. Myślę o pracy naukowej, dlatego chciałbym pozostać na uczelni, albo o karierze w dziennikarstwie. Idealnie byłoby połączyć obie dziedziny i będę do tego dążył. Wybór kierunku studiów podyktowany był moimi zainteresowaniami, które wzięły górę nad średnim wykształceniem – tytułem technika o specjalności systemy komputerowe. Już w technikum cały czas zdradzałem większe zainteresowanie językiem polskim i historią, niż podstawami elektrotechniki.

Co zatem tak bardzo pociąga Pana w pracy naukowej, bo idąc na studia nie mógł Pan jej przewidzieć?

- W specjalności dziennikarskiej duży nacisk położony został na kształcenie językoznawcze. W przeciwieństwie do filologii polskiej, gdzie większy nacisk kładzie się na historię literatury, a także na przygotowanie pedagogiczne. Jestem zafascynowany językiem polskim, nie wykluczając jego trudnych

zasad. Pociąga mnie też możliwość stałego rozwoju, zarówno umiejętności, jak i osobowości.

Jakie, Pana zdaniem, osobiste sukcesy zdecydowały o przyznaniu Panu najbardziej prestiżowego spośród wyróżnień studenckich – stypendium ministra?

- Przede wszystkim była to wysoka średnia ocen za cztery lata, ale również aktywność w stowarzyszeniach studenckich. Przez kilka lat działałem w studenckim kole językoznawczym SEM. Byłem również redaktorem naczelnym pisma studenckiego „Kartkówka” i uczestniczyłem w debacie oksfordzkiej na temat *Czy media powinny informować o wszystkim?* Aktualnie pełnię funkcję koordynatora prac Komisji Stypendialnej Wydziału Humanistycznego. Ale nie zaniedbuję też innych form aktywności – od czterech lat piszę do tygodnika „Aspekty”, od pół roku zajmuję się korektą kwartalnika diecezjalnego „Ecclesiastica” oraz praktykuję w wydawnictwie „Kanion” w Zielonej Górze.

O najlepszych dziennikarzach zwykło się mówić jako o genialnych dyletantach. To oczywiście tylko część prawdy. Ci naprawdę najlepsi zwykle mają za sobą gruntowne wykształcenie specjalistyczne, a o ich sukcesie decyduje „iskra boża”, duża komunikatywność, wyrobienie społeczne oraz duża inteligencja. Czy podziela Pan taki pogląd?

- Oczywiście. Nie wyobrażam sobie, że idąc na przeprowadzenie wywiadu, idę nie przygotowany, bez zapoznania się z tematem. Owszem, ważne są także predyspozycje: umiejętność nawiązywania kontaktów, dziennikarski „nos”, wspomniane wyrobienie społeczne czy inteligencja. Studia dziennikarskie uświadamiają jednak, że prawdziwy dziennikarz to dziennikarz sprawny także warsztatowo, biegle i świadomie posługujący się językiem.

Sporo rasowych i chętnie czytanych (słuchanych, oglądanych) przedstawicieli mediów twierdzi, że studia dziennikarskie nie dają, a warsztatu początkujący dziennikarz uczy się dopiero w redakcji. Może dlatego na najlepszych studiach tego typu wy-

kładowcami są znani dziennikarze, którzy warsztatu uczą już w trakcie studiów, a utytułowani filolodzy, psychologowie, socjologowie i teoretycy mediów są tam zaledwie dodatkiem programowym?

- Nie mogę się zgodzić z takim stwierdzeniem. To prawda, że umiejętności warsztatowe: posługiwanie się sprzętem, sposób zdobywania informacji, znajomość gatunków dziennikarskich są niejako trzonem specjalności dziennikarskiej. Istotne jednak jest również przygotowanie teoretyczne, przecież dziennikarz musi być po części socjologiem, kulturoznawcą i filologiem, by sprawnie poruszać się we współczesnym świecie.

Jaki gatunek dziennikarstwa jest Panu najbliższy?

- Najlepiej czuję się w dziennikarstwie związanym z kulturą, choć nie stronię od publicystyki obyczajowej. Interesuje mnie również krytyka literacka i filmowa, niedościgłym wzorem w tej dziedzinie jest dla mnie Tadeusz Sobolewski. Podoba mi się styl reportaży Leszka Talki czy Wojciecha Maziarskiego.

Czy jest Pan usatysfakcjonowany dotychczasowym programem studiów? Czego Panu zabrakło w toku studiów, czego Pan musiał się uczyć na własną rękę?

- Jeśli chodzi o przygotowanie teoretyczne, to uważam, że studia do zawodu przygotowują wyczerpująco. Natomiast warsztaty specjalistyczne – radiowe, prasowe i telewizyjne – pozostawiają niedosyt. W ciągu jednego semestru nie sposób poznać tajników zawodu, dlatego warto rozpocząć współpracę z mediami na własną rękę i wówczas się doskonalić. Jedyne co można by było zmienić w programie studiów to zwiększyć liczbę godzin warsztatowych.

Współczesny dziennikarz, niezależnie od gatunku, który uprawia musi umieć korzystać z globalnej sieci internetowej. To nie tylko technika przekazu relacji czy zdjęcia na odległość, ale aktualna kopalnia wiedzy o świecie. Czy często korzysta Pan z sieci internetowej w zdobywaniu nowej wiedzy czy wymiany poglądów?



- Internet jest dla mnie chlebem powszednim, korzystam z niego w Katedrze Komunikacji Językowej i Społecznej, która prowadzi specjalność dziennikarską, w wydawnictwie, u znajomych. Możliwości, jakie daje sieć są ogromne, ale Internet nie zawsze jest rzetelnym źródłem wiedzy, dlatego nie stanowi dla mnie wyroczni, a poglądy wolę wymieniać w kontaktach bezpośrednich, podczas spotkań z przyjaciółmi, rodziną i znajomymi.

Co – poza dziennikarstwem – jest Pana pasją i cieszy się szczególnie zainteresowaniem?

- Od kilku lat szczególnie interesuję się

filmem, zarówno teorią, jak i jej realizacją. Zaczęło się od reprezentowania województwa zielonogórskiego na Ogólnopolskim Konkursie Młodzieży Wiedzy o Filmie w Gdańsku w roku 1996 i 1997, a także udziału w Telewizyjnym Turnieju Młodzieży „Asy” w 1997 r. z dziedziny filmu. Przyznam, że gustuję w kinie lat 50.-80., natomiast obecne produkcje, zwłaszcza amerykańskie fajerwerki efektów specjalnych, interesują mnie mniej. Cenię kino europejskie, które obecnie dzielnie stawia czoło filmom hollywoodzkim. Oprócz tego uwielbiamy z Martą, moją żoną, piesze wędrowki i wyjazdy w góry ze sprawdzoną już ekipą.

rozmawiał Andrzej Politowicz

Wykład Dietera Birkenmaiera

W dniach 2 – 4 marca gościł na Uniwersytecie Zielonogórskim Dieter Birkenmaier – urzędnik Generalnej Dyrekcji ds. Podatków i Unii Celnej „Taxud” przy Komisji Europejskiej w Brukseli. 4 marca w auli naszego Uniwersytetu wygłosił wykład pt. „Czy Polacy powinni się bać Unii Europejskiej?”. D. Birkenmaier odwiedził nasze miasto i uczelnię na zaproszenie Centrum Kultury i Języka Niemieckiego oraz Instytutu Zarządzania UZ. Dieter Birkenmaier jest z wykształcenia prawnikiem, studiował prawo na uniwersytecie w Würzburgu oraz w Berlinie Zachodnim. W latach 1988-1990 był stypendystą DAAD w Ecole Nationale d'Administration (ENA) w Paryżu. Pracę w Komisji Europejskiej rozpoczął w 1990 r. w Generalnej Dyrekcji ds. Konkurencji na stanowisku doradcy ds. administracyjnych. Od 1993 do 1997 roku pracował w warszawskim przedstawicielstwie Komisji Europejskiej jako doradca ds. problemów prawnych oraz zarządzania funduszami Phare. Zakres jego działalności obejmował również reformę administracji, decentralizację, demokrację w obrębie Phare (w tym prawa człowieka), problemy pracy i sprawy socjalne, zdrowie, wychowanie oraz naukę. Te różnorodne zadania pozwoliły mu dokładnie poznać sytuację społeczno-polityczną oraz specyfikę naszego kraju, zwłaszcza że doskonale mówi po polsku. W swojej pracy informacyjnej nie ograniczał się tylko do Warszawy, lecz odwiedzał z odczytami inne miasta i regiony, m.in. Kraków, Lublin, Poznań, Zamość. Od 1999 r. jest odpowiedzialny za kontakty z Polską, Bułgarią, Węgrami i Słowenią w jednostce „współpraca międzynarodowa” wspomnianej już Generalnej Dyrekcji ds. Podatków i Unii Celnej. D. Birkenmaier ma w swoim dorobku publikacje m.in. w czasopiśmie prawniczych i ekonomicznych. Od 1998 r. jest członkiem Rady Programowej Katedry Integracji Europejskiej Jeana Monneta na Uniwersytecie Jagiellońskim. To tylko niektóre

dane z bardzo bogatego życiorysu naszego Gościa.

Wykład zgromadził liczne audytorium, głównie studentów zarządzania i marketingu, ale byli też przedstawiciele innych specjalności oraz nauczyciele akademicy. D. Birkenmaier próbował rozwiązać wątpliwości związane z przystąpieniem Polski do UE; Czy grozi nam westernizacja i utrata tożsamości, moralny rozkład i dekadencja? Tu D. Birkenmaier przytoczył wypowiedź ostatniego brytyjskiego gubernatora Hong Kongu Christophera Patten: „Wydaje się, że niektórym liderom brak zaufania do zdolności ich własnych społeczeństw do poradzenia sobie z sukcesem ekonomicznym bez traceniam tożsamości. Ale większość osób odwiedzających np. Japonię wie, że społeczeństwa azjatyckie wspaniale potrafią sobie przyswoić nowoczesność bez zatracania tego, co jest szczególne i odmienne w ich sposobie życia. Japonia jest zarazem bardzo nowoczesna i bardzo japońska.”

Na ile Unia Europejska ma zamiar liczyć się z naszą polityką wewnętrzną? Jaką rolę odgrywa Kościół w procesie integracji? Czy Unia Europejska to „klatka” dla wszystkich państw członkowskich, czy instrument, który pozwala działać wspólnie? Czy silna UE to nowe Stany Zjednoczone Europy? Czy UE to unia przeciw innym państwom? Czy supermarkety to zagrożenie dla rodzimego handlu? Gdzie są nasze mocne strony i czym możemy ubogacić Unię Europejską?

Burzliwą dyskusję wywołała sprawa możliwości sprzedaży ziemi cudzoziemcom, gdyż jest to aktualny temat w naszych mediach.

Na pewno wykład nie rozwiązał wszystkich wątpliwości, ale w sposób przystępny i interesujący przybliżył tematykę i, miejmy nadzieję, skłonił wielu do przemyśleń i bliższego zainteresowania się tym problemem.

Barbara Krzeszewska-Zmyślony
Danuta Chlebicz

Jest mi wstyd

„Rektorzy Lubuszaninami Roku” – krzyczał duży okładkowy tytuł z nr 2 naszego miesięcznika w lutym. Zadzwoił do mnie prof. Marian Bugajski, kierownik Katedry Komunikacji Językowej i Społecznej, zwracając uwagę na oczywisty błąd. Oczywisty? Przeprowadziłem błyskawiczną sondę wśród ponad 20 osób. Nie przypadkowych, ale takich, do których wycucia językowego mam zaufanie. Zaledwie trzy odkryły błąd. A nie jest on z gatunku zwykłych literówek, jakie przydarzają się nagminnie nawet najlepszym tytułom prasowym. Otóż ten oczywisty byk gramatyczny uderza w nasze poczucie więzi regionalnej, którą jeszcze niedawno, w czasie walk o utworzenie województwa lubuskiego, udowadnialiśmy całej Polsce! My, Lubuszanie, w żadnym razie nie „Lubuszaninie”. Nie chciałbym, broń Boże, by z powodu mojego niedbalstwa, osiągnięcia naszych rektorów ująć niejako w nawias, bo na ten sukces ciężko zapracowali. *Mea culpa*.

Kiedy już mowa o błędach, wypada przeprosić, że sir Winstona Churchilla, i to dwukrotnie, potraktowałem przez jedno „l”. Wpadkę zauważyłem dopiero po wydrukowaniu.

Nie zgadzam się natomiast z innym zarzutem prof. M. Bugajskiego, który skądinąd słusznie twierdzi, że nazwiska też można odmieniać. Zawsze o to pytam właściciela nazwiska, a już zwłaszcza wtedy, kiedy formy pozamianownikowe mogłyby zgrzytać albo wydać się mało poważne. Tu anegdota. Sławny matematyk, prof. Hugo Steinhaus był nie tylko wybitnym znawcą ojczystego języka, ale surowym jego strażnikiem. Kiedy otrzymywał list ze swym nazwiskiem, a imię było na drugim miejscu, bez przeczytania odsyłał. To właśnie w obawie o gniew profesora, władze Uniwersytetu Wrocławskiego wydały w 1954 roku kuriozalny informator osobowy, chyba jedyny taki na świecie, gdzie na pierwszym miejscu było imię pracownika! Steinhaus naturalnie zareagował pukaniem w czoło. W sporze, o którym tu mowa, o odmianie nazwisk, na argument, że właściciel ma prawo do swojego nazwiska, krzyczał: Tak, ale wyłącznie w mianowniku! No cóż, zgadzam się z profesorem, ale jego zdania nie podzielam.

Andrzej Politowicz